Nr. 2. Rok IV.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH

CZASOPISMO ILLUSTROWANE WYCHODZI TRZY RAZY Lwów, 10. Stycznia 1881. NA MIESIĄC: 1, 10 i 20 każdego miesiąca

Prenumerata wynosi we Lwowie:

rocznie	9 zł. — ct.
półrocznie	4 „ 50 „
kwartalnie	2 „ 25 „
miesięcznie	— „ 75 „

Na prowincji (z przesyłką pocztową):

rocznie	10 zł. 20 ct.
półrocznie	5 „ 10 „
kwartalnie	2 „ 55 „
miesięcznie	„ 85 „

W Poznańskiem i Prusach 5 marek kwartalnie. — We Francji i we wszystkich innych krajach 6 fr. kwartalnie, które przesłać należy przekazami pocztowymi.

Z Poznańskiego i Prus można przesełać prenumeratę przekazami pocztowymi.

Numer pojedynczy 30 ct.

Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy.

Redakcja i Administracja **Dziennika dla Wszystkich** przy ulicy Rzeźbiarskiej Nr. 1. A (Łyczaków), gdzie się przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia. Prenumeratę z prowincji i z innych krajów przesełać należy przekazami pocztowymi franco pod adresem: Do Administracji **Dziennika dla Wszystkich** we Lwowie. — Listy powinny być frankowane.

Za granicą ogłoszenia przyjmują: w Wiedniu: Haasenstein et Vogler Wallfischgasse; A. Oppelik Stubenbastei 2; Rotter et Comp. I. Riemergasse 13; Daube et Comp. Maximilianstrasse 3; w Frankforcie n. M., Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu, Brunświku i w Szwajcarji, Haasenstein et Vogler; w Paryżu: ajencja p. Adama rue Clement 4; w Peszcie: ajencja ogłoszeń Langa.

Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: M. D. Chamski.



Ś. P. KAROL LIBELT.

(Rysowane podług fotografji poznańskiej.)

Od Redakcji i Administracji.

Rozpoczęliśmy w „Dzienniku dla Wszystkich“ druk większej, oryginalnej powieści *Anieli Milewskiej* pod tytułem:

Sieroce dzieje,

obok mniejszych tłómaczonych, które w ciągu pierwszego kwartału zamieścimy.

Obecnie drukujemy obok oryginalnej, drugą tłomaczoną powieść p. t. „Pipistrello“, Ouidy, sławnej autorki angielskiej.

W rozpoczynającym się *czwartym* roczniku wydawnictwa, „Dziennik dla Wszystkich“, wychodzić będzie w takim samym kierunku, starając się usilnie rozmaitością i obfitością treści, zadowolnić czytelników swoich.

Prosimy naszych prenumeratorów, aby raczyli wcześnie odnowić prenumeratę. Zalegających w prenumeracie, administracja uprzejmie prosi, aby uregulowali takową.

Przypominamy, że „Album Wojska Polskiego“, które wychodzi staraniem i nakładem Redakcji „Dziennika dla Wszystkich“, *pierwszy zeszyt* już się rozsela prenumeratorom. Kto więc z szanownych prenumeratorów „Dziennika dla Wszystkich“ życzy sobie otrzymywać „Album“, raczy nadesłać odpowiednią prenumeratę. Warunki prenumeraty „Albumu Wojska Polskiego“, jak również bliższe szczegóły o tem wydawnictwie, znajdują się pomiędzy ogłoszeniami niniejszego numeru.

Pieniądze prenumeracyjne, tak na „Dziennik dla Wszystkich“, jak na „Album Wojska Polskiego“ przesełać należy w listach rekomendowanych, lub *najdogodniej przekazami pocztowymi*, pod adresem:

Administracja „Dziennika dla Wszystkich“ we Lwowie, ulica Rzeźbiarska, Nr. 1.

Kronika krajowa.

Z Kowna donoszą nam, że wkrótce tam otwartemi być mają trzy księgarnie polskie. Ukazały się już ogłoszenia i katalogi w języku polskim, co dla Kowna obecnie jest prawdziwą nowością.

Od czasu dosyć już dawnego panuje w Kownie drożyzna wielka, nędza wśród znacznej części ludności staje się coraz widoczniejszą, co jednak oczywiście nie przeszkadza sferom towarzyskim żywiołu obcego, rosyjskiego, bawić się najzbytkowniej.

Przed kilkunastu dniami dali koncert w Kownie: pani Dowiakowska, tudzież panowie: Stanisław Barcewicz i Makowski. Koncert odbył się z powodzeniem.

---

† Włodzimierz Wilczyński rodem z Wielkopolski, który od dłuższego czasu przesiedlił się do Galicji i zamieszkał w dziedzicznej wsi Nowe Sioło pod Stryjem, zmarł w tych dniach w 60 roku życia. Zmarły brał czynny udział w powstaniu 1848 roku, był człowiekiem zacnym i szczerym patrjotą. — Na drodze jego życia, szczególniej też w ostatnich czasach, niejednokrotnie kolce kaleczyły mu nogi i serce... Był to umysł ruchliwy i czynny... Na wiele spraw patrzał się sercem i... źle na tem wychodził...

Wiadomo już z pism codziennych o zbankrutowaniu Juliusza Mikolasza właściciela rafinerji za rogatką grodecką we Lwowie. Upadłość wynosi około 800.000 złr. Najbardziej tem bankructwem dotknięty został tutejszy bank hipoteczny i wielu prywatnych wierzycieli, jak słychać najwięcej żydów. O ile mogliśmy zaciągnąć wiadomości z dobrze poinformowanych źródeł, poważni kupcy i przemysłowcy poczytują za błąd nie do darowania p. Mikolaszowi, że wprzód zanim ogłosił upadłość, nie zwołał do siebie wierzycieli i przedstawiwszy im cały stan rzeczy nie zaproponował wyjścia z tego położenia bez ogłaszania demoralizującej zawsze upadłości; wówczas sami interesowani wierzyciele możeby podali drogę obejścia bankructwa daleko lepszą od tej, jaką się otrzymuje sposobem dobrowolnej ugody z wierzycielami po ogłoszeniu upadłości. Pan Mikolasz dnia 1. stycznia o godzinie 8. z rana zawiadomił listownie swego adwokata, aby ogłosił upadłość; w parę godzin chciał się cofnąć, ale adwokat pospieszył się zanadto i upadłości cofnąć już nie było można. Obecnie p. Mikolasz układa się z wierzycielami ofiarując im 45% ich należytości. Fabryka jest dalej prowadzona — cały też interesnie stanął, ani na chwilę. Po mieście obiegają pogłoski ubliżające honorowi p. Mikolasza, które jednak oparte są na niczem nieuzasadnionych domysłach i rzetelnej podstawy nie mają.

Sprawozdanie lwowskiej czytelni akademickiej, podaje w tym roku szczegóły wielce ciekawe. Towarzystwo to, którego pożyteczności nikt nie zaprzeczy, zostało doprowadzone już prawie do upadku Po roku był stan finansowy: długi. które z roku na rok się zwiększały, a które niezaradne wydziały poprzednie nie umiały umorzyć, doszły wreszcie do tej wysokości, że egzystencja dalsza była nie możebna. W tak krytycznem położeniu tem gorszym był postępek kierowników poprzednich, którzy opuścili ster i zupełnie usunęli się od powierzonego im urzedu. Nowemu wydziałowi należy powinszować, że umiał dać sobie radę i z trudności wybrnął, ale zarazem należy mu się przestroga, by starał się raz na zawsze usunąć wadliwości, jakie ich porzedników na zgubną drogę zepchnęły. Wadą tą jest niezawodnie pozowanie na uczoność i powagę, występowanie zawczesne na arenę życia publicznego i co najzgubniejszem, to smutny objaw gonienia za dygnitarstwami. Policzywszy wszystkich przewodniczących, ich zastępców wydziałowych czytelni i poszczególnych kółek, to zwykłych członków poza nimi nie wielu zostanie.

Jeżeli tego z czytelni nie usuną, to prędzej, czy później znowu nadejdzie chwila przesilenia, i znowu trzeba będzie pokryć wynik błędów poprzednich funduszem żelaznym — ale czy ten wystarczy? Zważmy tylko w jakim stosunku rażącym jest niedobór, pokryty obecnie z funduszu żelaznego, do pozostałej renty tegoż. Oto dano 1265 złr. na pokrycie niedoboru wydawnictwa „Albumu“ ofiarowanego J. I. Kraszewskiemu, 276 złr. 92 ct. na pokrycie długu bibliotecznego, istniejącego od lat sześciu — a zostało kapitału żelaznego już tylko 787 złr. 97 ct.! Ofiarowanie „Albumu“ Kraszewskiemu, było niezawodnie rzeczą piękną, ale liczenie na to, że publiczność rozkupi całe wydanie złożone z prac uczącej się dopiero młodzieży, to trochę za wiele nieoględności.

Dla tego życzyćby należało, aby młodzież akademicka wiązała się ściśle w towarzystwa, by krzewiła braterstwo i zgodę, by cały czas poświęcała pracy — ale niech występy publiczne odłoży na później, niech będzie skromniejszą, nawet w redagowaniu sprawozdanie z czynności *Czytelni*, bo dziś spotykamy w niem za wiele zarozumiałości i napuszystości.

Trzęsienie ziemi o którem piszemy w kronice zagranicznej, dało się także na znacznej przestrzeni uczuć na Ukrainie, mianowicie w powiatach: humańskim i lipowieckim. W Kijowie, jak donosi „Kijewlanin,“ było ono około godziny 6-ej wieczorem, ale bardzo słabe.

Otrzymujemy list następujący z prośbą o zamieszczenie:

Szanowna Redakcjo:

W pierwszym numerze „Dziennika dla Wszystkich“ z dnia 1. stycznia 1881. roku, na drugiej stronnicy w trzeciej szpalcie na dole, powiedziane jest, iż „Donoszą nam z Paryża, że hr. Zamoyski spadkobierca Jana hr. Działyńskiego, syn zmarłego hr. Władysława Zamoyskiego, ma poślubić wkrótce pannę Ludwikę (de Malakoff) Pelissier, córkę marszałka Francji etc.

Otóż, jako wuj hr. Władysława Zamoyskiego, syna ś. p. generała, a szwagier ś. p. hr. Jana Działyńskiego, więc dobrze poinformowany, mam zaszczyt prosić szanowną Redakcję o sprostowanie tej zupełnie błędnej wiadomości; gdyż nie syn ś. p. jenerała Wład. Zamoyskiego, który jest w tej chwili w Australji, jako komisarz francuzki w sprawach wystawy australskiej, ale Jan Zamoyski członek Delegacji wiedeńskiej, jest w zamiarze poślubienia panny Ludwiki Pelissier, księżniczki Malakoff.

Sprostowanie raczy Szanowna Redakcja w najbliższym numerze swoim umieścić.

Z głębokiem poważaniem,

St. Wojciech Potocki z Rymanowa.

29, grudnia i 5. stycznia, w szeregu odczytów Towarzystwa pedagogicznego, dla kobiet, mówił Dr. Ignacy Petelenz: *„O kręgowcach dawniejszych okresów geologicznych.“* Nie wchodząc wcale w to, jak prelegent wywiązał się z swego zadania, zwracamy uwagę na niestosowny wybór przed-

miotu do wykładu publicznego i popularnego. Jeśli prelegent chciał koniecznie obrać przedmiot z dziedziny geologji, mógł znaleść materjał inny bardzo obfity, a w każdym razie więcej zajmujący, bardziej do tego rodzaju wykładów się nadający. W ogóle do wykładów takich najstosowniejsze są przedmioty ogólne, a szczegółowe tylko wówczas, gdy tak nas wszystkich blisko dotykają, że bodaj z zasadniczych pojęć zawsze znane są powszechnie. A więc należy obierać przedmiot, albo z ogólnych zakresów wiedzy, albo pojedyńcze tylko momenta bądź z historji, bądź z literatury rodzinnej. Wybór zaś jednej rodziny zaginionych zwierząt, nie nadaje się tu bynajmniej.

Dowiadujemy się, że „Dziennik Polski“ znowu zmienia właścicieli i redakcję, mianowicie przechodzi napowrót na własność księcia Adama Sapiehy, a redakcję podobno ma objąć p. Kazimierz Skrzyński, będący przedtem współpracownikiem „Ojczyzny.“ Obecna redakcja ma być zupełnie zmienioną, wystąpią z niej panowie: Lam, Rewakowicz, i inni — zostaną tylko tacy, co dla kawałka chleba, lub przytułku, mogą być nawet przy „Kościelnych Wiadomościach.“

Sprawa mniemanego spadku po księciu Kalikście Ponińskim, zmarłym w r. 1817 przybrała, jak się z źródła zupełnie autentycznego dowiadujemy, niespodziewany obrót. Wysłannik umocowanych przez zjazd poznański z dnia 19. września r. z. członków komitetu księcia Birona i feldmarszałka Ziębickiego, pan Stanisław Szczaniecki, dotarłszy do Żytomierza i przejrzawszy na miejscu akta, znalazł, że testament księcia nie tylko żadnych do spadku nie pozostawia nadziei, ale przekonał się nadto, że książe Kalikst Poniński nie fortunę milionową, ale przeciwnie długi milionowe pozostawił. Po sprzedaży dóbr jego na korzyść wierzycieli już przed laty sześćdziesięciu, a którzy tylko w części zaspokojeni być mogli.

Z Krakowa.

W miesiącu wrześniu bieżącego roku, w królewskim głównym grodzie Krakowie, odbędzie się *krajowa wystawa przemysłowo-rolnicza.* Sążniste plakaty, rozwieszone po rogach ulic, zawiadomiły mieszkańców, o tym nowym dowodzie naszego wysokiego przemysłu, który poczyna zabierać wybitniejsze miejsce, pomiędzy Grenlandczykami, Lapończykami i innymi narodami handlowymi, zamieszkującymi krainy zbliżone ku biegunowi północnemu. Żart na stronę, ale jako kronikarz, z obowiązku zapytuję, z czem my się popiszemy na owej wystawie? Każdemu wiadomo, jak wszelki przemysł stoi na niskim stopniu w Galicji. Fabryki sukna, materji, papieru, są u nas znane tylko z imienia, cukrowni mamy zaledwie dwie i te tylko wegetują. Wszystkie potrzeby zbytku musimy sprowadzać z zagranicy, a nasze projekta surowe wychodzą z Galicji, aby przerobione, wróciły do dawnej ojczyzny o kilkakroć droższe. Nie jestto co prawda ostatnie słowo, bo w ubiegłym dziesiątku lat przemysł nasz zaczyna powoli wychodzić z dzieciństwa i gdybyśmy mieli więcej rzutności i pieniędzy, to śmiało moglibyśmy konkurować z ościennemi prowincjami.

Jednakże dzisiaj wystawa nasza będzie się mizernie reprezentowała, lecz nie powinniśmy tracić odwagi i inicjatywa naszych przemysłowców zasługuje na wielkie uznanie.

Żałować należy, że na pierwsze wezwanie w celu ukonsystowania komitetu, zjawiło się zaledwie kilka osób. Drugie już było liczniejsze, a nazwiska, które stanęły na czele wystawy, dają nam wszelką rękojmię, że ta będzie urządzoną o ile można najlepiej.

Bank zaliczkowy rękodzielników i przemysłowców i kasa oszczędności, pospieszyły chętnie ze swymi kapitałami na pomoc drobnemu przemysłowi, aby największa liczba wystawców mogła wziąć udział.

Na wystawie sztuk pięknych głucho i pusto. Artyści nasi zajęci wykończeniem akwarell do albumu dla arcyksięcia Rudolfa, nie śpieszą się z nadsyłaniem swoich prac. Wspomnieć jednak musimy o nowym rzeźbiarzu, którego imię było dotąd nieznane w świecie artystycznym. Jest nim pan Leon Mieczysław Feintuch, ze Lwowa. Kilka jego figur przysłanych na wystawę, dają nam pewne prawo sądzić o wielkich zdolnościach autora, chociaż widocznem jest, że to są pierwsze kroki na polu rzeźbiarstwa. Szczególnie zasługuje na uznanie głowa nubijczyka, wykończona najzupełniej. O ile wiadomo, pan Feintuch ma wyjechać za granicę, dla dalszego kształcenia się. Życzyć należy młodemu adoptowi, aby powrócił do nas skończonym mistrzem. Rzeźbiarstwo, w dziedzinie sztuk wyzwolonych, jest najniewdzięczniejszem i potrzeba być wielkim artystą, aby się wybić nad zwykły poziom.

W teatrze krakowskim od dwóch tygodni, zapanowała istna rewolucja. Pani Berwald kasierka, musi się obstawiać barykadami, aby odpierać ataki szturmujących... o bilety... tylko niestety...

Jak świadczą roczniki teatralne, żadna sztuka nie cieszyła się tak szalonem powodzeniem, jak *Kościuszko pod Racławicami.* Dziesięć razy z rzędu ją grają i dziesięć razy wszystkie bilety są rozsprzedane przedpołudniem. Nie tylko z okolicy, ale i z dalszych stron zjeżdża publiczność, aby ujrzeć bohatera w sukmanie, który kilkadziesiąt lat naprzód myślał już o wyswobodzeniu chłopów od pańszczyzny. W teatrze podczas przedstawienia panuje nastrój uroczysty, a niektóre obrazy, jak: przysięga Kościuszki pod Sukiennicami i wzięcie baterji moskiewskiej przez Głowackiego, wywołują nietylko wielki zapał, ale i radosne łzy.

Artyści grają bez zarzutu. Rolę Abrachama żyda, objął po p. Fiszerze, p. Glikson i gra ją bardzo dobrze, Reszta ról została nie zmienioną.

Panna Stachowicz wyjechała na występy gościnne do Warszawy. Czy też ona wróci? i nie da się uludzić słodkiemu głosowi syreny warszawskiej, a może jakiego „syrena“...

Panna Disterlow, artystka teatru poznańskiego, przyjechała do Krakowa na występy gościnne. Repertoar jej składają przeważnie dzieła Damasa, Sardou, Augiera i Feuilleta. Po raz pierwszy ujrzymy ą na naszej scenie, lecz o ile można sądzić z krytyki warszawskiej i poznańskiej, jestto jedna z więcej utalentowanych polskich artystek.

Umarł tu Wisłocki jeden z weteranów sztuki dramatycznej, który za czasów Pfeiffra, liczył się do dobrych artystów. Ostanie lata spędził w towarzystwie dobroczynności, a koledzy zmarłego wraz z p. Rychterem odprowadzili biedaka, który niegdyś rozśmieszał swoim komizmem, na miejsce wiecznego spoczynku.

Takto na świecie. Niedawno jeszcze bawił i rozweselał publiczność, dziś kryje go zimna mogiła. Niedługo a pamięć o nim zupełnie zaginie i człowiek pomimowoli musi być filozofem i powiedzieć: „Vanitas vanitatis, et omnia vanitas.“

Prezydent miasta dr. Zyblikiewicz, otrzymał wysoką oznakę, bo krzyż komandorski orderu Franciszka Józefa, od Naj. Pana.

Zwykle ludzie znakomici, dopiero po śmierci są wynagradzani i potomność przyznaje im wieńce i laury. Nasz prezydent jest o tyle szczęśliwym, że i za życia jest przedmiotem gorących owacyi i uznania.

Karnawał jest już w pełnym rozwoju. Dotąd bawią się jeszcze prywatnie i pierwszy bal publiczny ogłoszonym jest na 19 stycznia. Jak dotąd, nie wiele obcych rodzin zjechało do miasta, lecz spodziewają sią liczniejszego zjazdu na początku lutego.

Towarzystwo Śtej Salomei zapowiedziało kilka wieczorków tańcujących. Tualety wizytowe, a nie balowe, ściągają zawsze liczny zastęp obojga płci. W przeszłym roku te zabawy cieszyły się wielkiem powodzeniem, spodziewać się należy, że i w tym karnawale będą się wypróżniały, czego im szczerze życzymy, ze względu na dobroczynny cel tych wieczorków.

We czwartek nastąpiło uroczyste otwarcie kasyna literacko-artystycznego. Składkowa wieczerza rozpoczęła inaugurację, a liczne mowy i toasty, przeciągnęły ucztę do późnej godziny.

Ignacy Jastrzębiec.

Plotki i nieplotki.

Biereg (N. 250) tak charakteryzuje społeczesne kobiety w Rosji:

„Nietyle jest groźnym urzędnik, w charakterze bicza bożego, ile jest okropną urzędnikowa, — ta wychwalana kobieta-rosjanka, inteligencyjna, rozwinięta, myśląca, niepowstrzymanie-nagła, czuła, nerwowa, łakoma, zła, szczera, wrażliwa bachantka, pociągająca handlarskiem faryzeuszostwem, nieśmiała wobec męża, czelnie-swobodna w wyborze kochanków, spragniona, — nie uwielbień chłystków, co się już stańczyli, — ale jakiejkolwiek wulgarnej roli politycznej, zaciekawienia, zdumienia i podziwu wśród tego samego tłumu powszedniego, który ją wychował, wychuchał, wyżywił i zaszczepił w niej gorączkowe marzydła o prawach wła-

dania skórą, żebrami i niedoborem mieszkańców. Parę lat temu, jeden z profesorów rosyjskich wypowiedział godne uwagi bzdurstwo, podnoszące rosjankę o całe niebo nad kobietę europejską. Kto był w Europie, ten się nie poważy tak ubliżać jej kobiecie. — Poprzednio istniała w Rosji pani, wytuczona na pańszczyźnie, — wałęsająca się po Alpach i jeziorach, łażąca po szynkach, i bulwarach Paryża, pani, czasami zdumiewająca swoim rozumem, a bardziej jeszcze dochodami, toaletą i niewymuszoną lekkością obyczajów. — Dziś inne są typy. Przez pół-pani, przez pół-urzędniczka, lwica, zabezpieczona pensją mężowską, mieszkaniem, które skarb daje, miłowem, — nie potrzebuje pieniędzy kochanka. Ona się niesprzedaje; niemniej przeto handluje nią jej kółko, jej opiekunowie. Na jej wdziękach wznoszą się karjery. Czepiające się jej ogona: nieudolność, głupota, ciemnota, żeglują w górę przeciw prądom fal. — A dalej, gdy się badacz spuści do poziomu rang niższych, o pensyjce parotysięcznej, ujrzy takie rzeczy: oto urzędnik o randze niewysokiej, w nadziei na podniesienie stopnia swego, wciąż popełnia błędy w rachubie i żyje zwykle „nad skalę,“ kobiety wypieszcza na słodziuchne, mięciuchne i zajmujące. Kobieta o subtelnych, delikatnych nerwach, chorobliwie drażliwa, czuje pragnienie życia w urzędniczej, duszy swojej. Zastosować się do okoliczności, oszczędzać nie umie. Do niej należy — *danser* i *parler français*, aż rozmiluje się w niej kto stosowny i powie: „Kocham ciebie,“ „lubciu luba;“ „podaj mi dłoń!“ Łączą się więc śluby małżeńskimi. Zakwita potomstwo, szlachetnie urodzone; potrzeby wrzastają,— a pensyjka ta sama. Tu właśnie początek „szczęścia rodzinnego,“ uwieńczonego balikami redutowemi, zajęciem wielbicieli, ich przyjacielskiemi przysługami. — Śmiano się z poprzedniej pani i powiadano o niej: „mąż ją ubiera, a przyjaciele rozbierają.“ Spółczesną wszyscy ubierają, i wszyscy rozbierają. Ztądto pochodzi niesłychany zbytek w toalecie, dyamenty podejrzanego pochodzenia i złośliwe uśmiechy, towarzyszące ładnej kobiecie w towarzystwie. I mąż nietylko nie ma prawa zazdrościć, ale nawet powinien czuć wdzięczność żonie za to, co godne jest pogardy. — Wszystko to uważa *Bereg* za spuściznę dawniejszych stosunków pańszczyźnianych w Rosji.

Miłośnicy wskazywania palcami ku zachodowi „zgniłemu,“—powiada pismo,—niech bezstronnie rozwiążą pytanie: Gdzie jest zgnilizna: czy na zachodzie, czyli też pod własną strzechą?“

* *Kurjer Poznański* pisze:

„Donosiliśmy już kilkakrotnie o jakimś pseudoksiędzu, który w północnych powiatach naszego Księstwa po wsiach u włościan zbierał pieniądze i msze odprawiał. W tych dniach był i w Parchaniu, gdzie podpadł tamtejszemu sołtysowi język, w jakim ów pseudo-ksiądz msze swoje odprawiał. Pod zmyślonym pretekstem zaprowadził więc owego dobrodzieja do komisarza obwodowego, który go po krótkiej rozprawie aresztował. W kieszeniach jego znaleziono kilkanaście karteczek, na których wypisane były intencje mszalne i kwoty za nie odebrane. Pokazało się także, że niegodziwiec ten odprawił swoje tak zwane msze z książki greckiej... z Homera!“

SIEROCE DZIEJE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Anielę Milewską

TOM I.

(Ciąg dalszy).

Pani Wyszewska, nazajutrz po przybyciu do Warszawy, postanowiła towarzyszyć Ludwice, wybierającej się do pani Borcikowskiej, przewidując ile ta wyczyta sprawi przykrości, młodej, nieśmiałej i drażliwej dziewczynie.

Ludwika znając zwyczaje bogatej pani, wiedziała, w jakim czasie można było zastać ją w domu, wybrała się więc w porannej godzinie, gdy pani Borcikowska wróciła karetą z kościoła. Obie czzarno, lecz starannie ubrane, stanęły u szklannych podwoi; kamerdyner otworzył je, a wprowadziwszy przybyłe do przedpokoju, udał się głębiej. Wkrótce poprosił je do salonu, nacechowanego pewną surowością smaku, a w kwadrans potem zjawiła się pani Borcikowska wspaniałej postawy, czarno, ale bardzo kosztownie ubrana. Wieku jej nikt nie odgadłby z pozoru, piękność miała młodości, a powagę późnych lat.

Przybyłe czuły w sobie tajemniczy dreszcz chłodu, jakby na widok lodowej skały świetnej promieniami słońca.

Pani Borcikowska w milczeniu patrzała na gości czekając żądania.

Pani Wyszewska pierwsza odważyła się przemówić.

— Jestem Wyszewska, siostra zmarłego w tym domu malarza; a oto córka jego najstarsza.

Pani, skinęła z lekka głową, czekając dalszego ciągu.

— Zostało nas siedmioro sierót, — starać się pragniemy pracować na młodszych. Znana dobroczynność pani, skłoniła nas do udania się z prośbą do niej, o ułatwienie nam pracy.

Biedna dziewczyna stanęła — pierś jej tłeczyła niewysłowiona przykrość.

— Najtrudniejsze to dla mnie zadanie — rzekła piękna pani — mam mało znajomości, żyję samotnie; ale... — dodała — chętnie mogę dopomódz innym sposobem.

Tu zrobiła ruch ręką do kieszeni.

Pani Wyszewska zrozumiawszy o co chodzi, szybko zawołała.

— Dzieci zostały wprawdzie bez funduszów. lecz mają szlachetne pragnienie pracą utrzymać siebie i wychować młodsze rodzeństwo.

— Jakiegoż rodzaju pracą?

— Najstarsza umie rysować, chciałaby dawać lekcje rysunku; jeden z synów chodzi do uniwersytetu, mógłby dawać korepetycje nauk gimnazjalnych; drugi będąc w wyższych klasach gimnazjum, może także zarabiać udzielając lekcyi uczniom klas niższych.

— Sprobuję, wprawdzie mało żyję w świecie, jednakże sprobuję. Gdzież państwo mieszkacie?

— Na trzecim piętrze, też same wschody.

Ludwika podała jej tekę z rysunkami. Pani przejrzała uważnie, wybrała kilka oddając resztę.

W milczeniu wróciły do swego pokoiku.

Pani Wyszewska nieopuszczała sierót przez dni kilka; jakże było dobrze z nią Ludwice!

Gdy już wszystko było obliczone, postanowione, gdy Adolf i Jaś dostali korepetycje, a Albertyna zaczęła chodzić do magazynu szycia i strojów, ciotka pożegnała spłakaną rodzinę i odjechała do domu.

Następne dnie były najprzykrzejsze dla Ludwiki, chłopcy i młodsze dziewczęta spędzali czas za domem na nauce, ona zaś zostawała z Józeczką, pełna niepokoju wyglądając z niecierpliwością wieści od pani Borcikowskiej, a te nie przychodziły. Ten stan oczekiwania zaczął przygnębiać ją, czuła, iż traci przytomność myśli i zwykłą sprężystość działania.

Raz posłyszawszy dzwonek poruszony u drzwi wyszła otworzyć, i ujrzała nieznajomego mężczyznę. Był to buchhalter znanego kupca przynoszący rachunek za towary które ojciec wziął a conto. Ludwika blednąc odebrała papier, i z przestrachem spostrzegła liczbę 50 rubli.

— Ojciec nasz nie żyje — rzekła złamanym głosem — zostawił nas bez dochodów, jednak zapłacimy później.

Wierzyciel odszedł. Przygoda ta mocno wstrząsnęła Ludwikę, przypuszczała bowiem, że może znaleść się więcej długów.

Nie mogła pozostać sama w mieszkaniu, wziąwszy Józię, wyszła na miasto.

Przechadzka wpłynęła korzystnie na jej usposobienie—uspokoiła obawę, dodała jej nowej wiary.

Przy obiedzie, opowiedziała rodzeństwu swą trwogę, wszyscy przyznali, że należy zapłacić dług ojcowski.

W kilka dni potem, Adolf oddał siostrze pieniądze, mówiąc:

— Odnająłem niepotrzebne nam pokoje, oto są pieniądze.

— Któż je wziął? — zapytano.

— Pan Sieklucki, profesor gimnazjum.

Nastąpiło trudno zadanie, pomieszczenia w dwóch pokoikach tylu łóżek i najpotrzebniejszych sprzętów. Ludwika przewidywała niewygodę pochodzącą z ciasnoty i jednego wyjścia przez kuchnię.

Na wszystko była przygotowaną.

Dawniej, chłopcy sypiali z ojcem, jeden pokój służył za jadalnię i bawialnię zarazem, w drugim mieszkały dziewczęta.

Sąsiad zabierał dwa pokoje, przedpokoik i główne wschody.

Adolf rozejrzawszy się w nowem mieszkaniu, skrzywił się.

— Wspaniały lokal, nie ma co mówić.

Albertyna szepnęła, jakby do siebie:

— Ja tu nie wytrzymam.

Gdy jakaś część sprzętów nie mogła być zmieszczoną, zostały skazane na sprzedanie, łóżeczko Józi, kanapa z salki bawialnej, biurko ojca i kilka krzeseł.

— Jak to dobrze — cieszyła się Józia — będę spała z Ludwinią.

Dla dzieci każda zmiana jest powodem radości.

Niecierpliwość, kilka razy kusiła Ludwikę, do pojścia jeszcze do pani Borcikowskiej, ale wspomnienie obejścia jej, odbierało odwagę.

Po kilkunastu dniach, przyszła nareszcie upragniona przesełka. Znajdował się w niej, liścik, w uprzejmych wyrazach. donoszący o trzech rodzinach, potrzebujących nauczycielki rysunku, z płacą 5 złp. za godzinę; również o kilku godzinach korepetycyj dla chłopców. Adresy każdego domu i nazwiska osób były dołączone.

Ludwika uniesiona radośną wdzięcznością, poleciła słudze podziękować gorącemi słowy, i namyśliwszy się, dodała:

— Za chwilę przyjdę sama podziękować.

Pani Borcikowska nie zawiodła. Ludwika udawszy się na miejsce wskazanych adresami, znalazła zamówienia nauki rysunku.

Roboty jej podobały się, również całość zachowania się, wysłowienia, harmonijność ruchów, głęboki smutek twarzy, obok szat żałobnych, wszystko składało się na sympatyczne wrażenie.

Zresztą przywilej urodzenia się córką malarza znanego, był najlepszą rekomendacją.

Serdecznie przyjętą została przez panią Cislińską, gadatliwą, a poczciwą osobę, która z przychylnością pytała o wszystkie szczegóły tyczące się osieroconej rodziny, i w której dobrych oczach, błysnęły łzy współczucia.

Ludwika przy pierwszem widzeniu, ucałowała z czułością ręce zacnej kobiety i otrzymała macierzyński pocałunek w głowę. Nie czuła się tu onieśmieloną, jak gdzieindziej.

Chłopcy nie zostali także zawiedzeni, a zarobione pieniądze oddawali sumiennie siostrze, która z ogólnego funduszu przeznaczyła sama cośkolwiek na ich osobiste wydatki.

W pierwszych miesiącach, trzeba było dokładać, z fundusiku zebranego za sprzedane sprzęty, a gdy nakoniec przy co miesięcznym obrachunku dochody wyrównały się z rozchodami, osierocona rodzina odetchnęła swobodniej.

Ludwika czuwając także nad moralnym rozwojem rodzeństwa, martwiła się tem, że wychodząc na lekcje, musiała zostawiać Józieczkę z kucharką, a towarzystwo niestosowne, widocznie oddziaływało na dziecko.

Współczująca pani Cislińska wybawiła ją z tego kłopotu, pozwalając przyprowadzać maleńką, dla zabawy z najmłodszą jej córeczką Jadwinią. Ludzie z sercem, umieją drobnostkami osładzać życie bliźniego.

Nie dość na tem; p. Cislińska wiedząc o tem, że dobre towarzystwo, jest koniecznym i nieocenionym warunkiem wychowania młodzieży, zaprosiła rodzeństwo Ludwiki do domu swego, na dnie świąteczne. Swobodna zabawa dziecięca, wspólne przechadzki były jedyną przyjemnością pracowitego życia biednych sierót. Nadzieja lepszej przyszłości, i poczucie własnej pożyteczności uspasabiały do pewnego pokoju umysłu młodych pracowników i opiekunów rodzeństwa.

Zima przeszła, a sieroca gromadka niedoznawała głodu, ani razu, twarze ich były i świeże, tylko Albertyna nie mogła pogodzić się z losem swoim.

Ładna jej twarzyczka przybrała wyraz ponury. W domu bolała nad widokiem ubóstwa, mieszkanka, pomiędzy towarzyszkami w magazynie strojów, czuła się upokorzoną rodzajem pracy, w odwiedzinach u pani Cislińskiej, budził w niej dostatek uczucie zawiści.

W końcu nie chciała wcale łączyć się z rodzeństwem, mówiąc, że jako szwaczka nie powinna się mięszać do towarzystwa ludzi takich, jak Cislińscy.

Ludwikę do rozpaczy przyprowadzało to usposobienie siostry, a wpłynąć na zmianę pojęć nie umiała; wszelkie przedstawienia rozsądne, rozjątrzały tylko uporny umysł dziewczyny i doprowadzuły do słów cierpkich, któremi nawzajem się obdarzały.

Szyderstwa i żarty braci, nie skutkowały także lepiej.

Albertyna dziedziczyła cokolwiek daru artystycznego po ojcu, prędko odznaczała się pomiędzy współkoleżankami, wytwornym smakiem, przy robocie strojów kobiecych, to też w nadspodziewanie krótkim czasie, przeniesiono ją z pomiędzy uczennic do płatnych robotnic. Kierująca okazywała jej szczególne względy, powierzając najtrudniejsze roboty. Kapelusiki Albertyny były prawdziwymi cackami, wabiącymi oko za wystawą sklepową. Nikt nie umiał tak pięknie dobrać kolorów, ani z tak artystycznym wdziękiem ułożyć kwiatów. Talent ten Albertyny był za małym, aby się odznaczyć mogła, jako malarka, ale wystarczał zupełnie dla zostania znakomitą modniarką.

Nie pojmowała jednak tego, nie wyobrażała sobie inaczej szczęścia, tylko w życiu w dostatkach, w spaniałych mieszkaniach, w bogatych strojach. Nie przyjęła poczucia obowiązku względem młodszego rodzeństwa, miotała się wewnętrznie na swe położenie, i myślała wciąż o zmianie.

Dlaczego była inną od rodzeństwa?

Przyczyny musiały być różnorodne. Przyrodzone skłonności charakteru, wiek, i przestawanie z koleżankami na pensji, musiały być głównymi czynnikami. Potrzeba jej było przejść burze życia, przeboleć zawody, aby pojąć i ocenić wartość szczęścia w rodzinie.

Pani Wyszewska nie mogąc odwiedzać często dzieci brata swego, pisywała listy do Ludwiki, dopytując się o szczegóły gospodarstwa i przysełając przez zdarzające się okazje różne podarki.

W jednym z listów pisała:

„W naszej okolicy mieszka pani Kotulicka, bogata, a nieszczęśliwa osoba, która straciła dwóch synów dorosłych w przeciągu roku. Poszukuje osoby dobrze wychowanej dla towarzystwa swego z płacą tysiąca złotych rocznie. Gdybyście się nie byli tak dobrze urządzili, że rozłączać was nie można, ciebie, Ludwiniu, przedstawiłabym, jako kandydatkę; z taktem i rozumem, jakiemi Bóg cię obdarzył, byłoby ci tam dobrze, a zbytnią pracą, nie przeciążałabyś się tak, jak to czynić musisz obecnie."

Gdy Ludwika przeczytała list głośno, Albertyna wziąwszy go z jej ręki, przejrzała raz jeszcze. W główce powstał zamysł nowy, nie rzekła ani słowa, lecz potajemnie napisała list do ciotki, zaklinając, aby dla niej wyrobiła wspomniany obowiązek. Żywa wyobraźnia stworzyła obraz życia w pałacu wśród dostatków, wytwornych sprzętów, w otoczeniu licznej, a pokornej służby. — A, odetchnąć, choć na chwilę atmosferą bogactwa! — Krew do głowy, oczy zabłysły ogniem, fantazja pracowała w dzień i w nocy.

Rodzina spostrzegła zmianę, nikt nie odgadł jednakże przyczyny.

Może zaczyna godzić się z losem, myślała Ludwika, Bogu niech będą dzięki.

W kilka dni przyszedł list od ciotki, pod adresem Albertyny. Ludwika zdziwiona nieśmiąc otworzyć koperty, wręczyła wieczorem pismo siostrze.

Albertyna zaczerwieniona przeczytawszy odpowiedź pani Wyszewskiej, wręczyła ją Ludwice.

Ciotka przedstawiała Albertynie, że miejsce u pani Kotulickiej, nie może być stosownem dla panienki w jej wieku: „Ty, nie masz, ani lat, ani doświadczenia Ludwiki, dziwi mię to bardzo, że chcesz opuszczać rodzinę pośród której lepszy, być winien suchy kawałek chleba, niż marcepany wśród obcych; poznasz to sama, prędzej lub później." Nakoniec zwróciła się do Ludwiki zapytując, czy ona znajduje stosownem, aby Albertyna przyjmowała podobny obowiązek „jeśli pragniesz tego — pisała — zajmę się szczerze sprawą, gdyż ciebie uważam za, opiekunkę rodzeństwa, napisz więc, co mam czynić."

Ludwika przeczytawszy, spojrzała na siostrę, spostrzegła twarz jej zmienioną, czerwone plamy na licach, w oczach błyskał dziwny ogień.

— Od ciebie zależy los mój — wyjąkała, jakby dusząc się — możesz mię zgubić na zawsze, lub uszczęśliwić!...

— Więc chcesz nas opuścić? — zapytała Ludwika.

— Mamże zostać?— odparła Albertyna — dla tego, że to wam dogodniej? Dla was mam być szwaczką całe życie i mieszkać w obrzydłej dziurze, jak nędzarka?...

— Wiesz dla kogo się to robi, nie dla mnie, ani dla starszych braci, lecz dla trojga małych, dla pamięci ojca...

— Dzieci, rodzina rozebrałaby z chęcią, wszakże zgłaszano się już o to.

— Któż zechce zastąpić rodziców sierotkom, gdy rodzone siostry, nie mają do tego dość dobrej woli? Pomyśl! — zawołała Ludwika.

Albertyna zamilkła, lecz nadąsała się i nie chciała nikomu odpowiadać. W nocy Ludwika zasnąć nie mogła, bo słyszała tłumione szlochanie w łóżku siostry i szept wyraźny: „wolałabym umrzeć, niż żyć, tak nędznie! Boże, przyspiesz śmierć moją!“

(C. d. n.)

TEATR.

Na benefis p. Podwyszyńskiego, dnia 5. stycznia, przedstawiony został „dramat ludowy“ w 5. aktach p. t. „Pod ziemią“ pióra ś. p. Błotnickiego. Kto wyrządził zmarłemu literatowi krzywdę i wywlókł na scenę niedołężny pod każdym względem utwór, stojący niżej wszelkiej krytyki, niech mu autor z tamtego świata przebaczy — nam niewymownie jest przykro, że taki zdolny i utalentowany artysta, jakim jest pan Podwyszyński, wybrał sobie na benefis „Pod Ziemią“ plątaninę, która bez zmiany treści i sytuacyj, może być zatytułowana „Na dachu“. Przed laty, niemieckie pismo „Ueber Land und Meer“ drukowało kilkanaście obrazków z życia górników — autor „Pod ziemią“ zaczerpnąwszy treść z jednego z tych obrazków, silił się „dopasować“ ją do życia naszych górników i ulepił takie *czupiradło*, że przez szacunek dla jego pamięci, lepiej więcej o tem nie pisać... Główne role w tej sztuce, powierzone były pani Nowakowskiej, panu Fiszerowi, Walewskiemu i Podwyszyńskiemu, mniejsze pannie Boguszewskiej, panu Sachorowskiemu, Ruszkowskiemu, Dębickiemu, Galasiewiczowi i Kicińskiemu; oprócz tego, mnóstwo kręciło się osób na scenie, po to jedynie, aby się pokręcić i zniknąć niepowrotnie...

Jeszcze słówko do dyrekcji.

Na afiszu czytaliśmy: „ze śpiewami i chórami“ — tymczasem oprócz trzech zwrotek „Kto się w opiekę poda Panu swemu“, odśpiewanych przez czterech, czy pięciu zaimprowizowanych górników podobnych do tych, którzy węgle roznoszą po Lwowie, nikt i nic nie śpiewał... W ten sposób postępując, można zapowiedzieć trzęsienie ziemi na afiszu, a potem na scenie, przewrócić do góry nogami n. p. pana Galasiewicza — i koniec... *M. D. Ch.*

Pan Fiszer powróciwszy z Krakowa wystąpił po raz pierwsy w „Safandułach“ w roli Vauclin'a; przywitany grzmiącymi oklaskami, choć widocznie był niedysponowany, grał dzielnie i z humorem; wybornie sekundowali mu pp. Zamojski, Zboiński, Woleński i pani Aszpergerowa. Sporadyczną, ale charakterystyczną rolę prowincjonalnego wierszokletу, z odznaczającym talentem odtworzył p. Ruszkowski, zepsutego zaś młokosa, grał ze swobodą i humorem p. Walewski. Na tej już ogranej komedji, publiczności było więcej, aniżeli na pierwszem przedstawieniu „Pod Ziemią.“

Opera. Talent kompozytorski i zdolności muzykalne p. Jareckiego, dyrektora naszej opery, wysoko cenimy, ale... p. Jarecki jest czasem niesprawiedliwy i uprzedza się do tych, którym z urzędu swego i z miłości dla sztuki, winien być artystycznym opiekunem na scenie takim, jakim właśnie jest p. Jarecki dla tych do których niema niechęci... O śpiewie panny Morzkowskiej wypowiedzieliśmy już swoje zdanie w jednym z poprzednich numerów „Dziennika dla Wszystkich“ — nie cofamy tego, cośmy tam powiedzieli; panna M., mówimy to z naciskiem, ma przed sobą przyszłość, ale dziś wiele, bardzo wiele jej brakuje. Talent każdy rozwijać się musi. Panna M., zawcześnie rzuciła się na duże partje — jednak nie idzie zatem, aby pan Jarecki dyrygując operą, ignorował tę śpiewaczkę na scenie, dlatego, że był przeciwny jej zaangażowaniu... Dyrektorska batuta p. Jareckiego dla panny Morzkowskiej nie istnieje — niebyło wypadku, a uważaliśmy to pilnie, aby pan kapelmistrz dał znak pannie Morzkowskiej w tych miejscach, gdzie znaku najbardziej potrzeba, mianowicie przy łączeniu się głosów, formowaniu ensemblów i t. d. Zagadnięty o to p. Jarecki, miał podobno powiedzieć, że panna Morzkowska ma krótki wzrok, więc ruchów jego pałeczki nie widzi; naturalnie, tłomaczenie się takie, jeśli było, jest żartem, bo ruch podniesionej ręki i pałeczki zauważy najkrótszy wzrok. Przykro nam, że musieliśmy na to zwrócić uwagę, ale uważamy zawsze sobie za obowiązek odezwać się, gdy się dzieje krzywda artyście, zwłaszcza, że młodych talentów, choćby najskromniejszych, zniechęcać nie należy...

W sobotę dnia 8. stycznia dawano „Żydówkę“. Tym razem opera ta szła tak źle, że nie pamiętamy na lwowskiej scenie takiego wokalnego spektaklu. P. Rawercie coś się zrobiło, pluł i kaszlał, sławna arja: „Rachelo kiedy pan“ przeszła bez wrażenia. Pan Alma (książę) był chory na gardło, czy coś podobnego i zamiast w finale pierwszego aktu wziąść udział, jak to się zwykle praktykuje, uciekł za kulisy. Panna Morzkowska niektóre ustępy śpiewała lepiej, jak wykle, ale też niektóre źle, szczególniej w duetach i tercetach. Na nieszczęście, pani Skalska, nasza duma i ozdoba, która tak świetnie śpiewała już Rachelę, tym razem była widocznie niedysponowaną i cierpiącą... Chóry, jakby się chciały dostroić do ogólnego... rozstrojenia i wcale nieprzyczyniły się do dobrego wrażenia... Dwaj tylko panowie: Alzino (bas) i Koncewicz baryton, wyszli jako tako.

Potoczne wiadomości teatralne. — — Wieniawski Józef dawał w dniu 14. b. m. z świetnem powodzeniem koncert w Lipsku, w tamtejszej sali gieldowej księgarskiej. Zamierza on podobno udać się do Bukaresztu, a po drodze będzie grał w Poznaniu, Krakowie, Lwowie, Czerniowcach i Jassach.

— Na dowód, jak bezstronnie „Dziennik dla Wszystkich“ zajmuje się w ogóle sprawami teatralnemi, a w szczególności ocenianiem talentów aktorskich — podajemy niżej to, co pisze „Wiek“ o występach gościnnych w Warszawie panny Stachowiczównej artystki krakowskiej, a przy tej sposobności wspomina o pannie Wisnowskiej dotychczasowej jeszcze artystce lwowskiej. Ciekawszych czytelników odsełamy do tego, cośmy pisali o pannie Stachowiczównej w jednym z ostatnich numerów „Dziennika dla Wszystkich“ z roku zeszłego i do recenzyj, któreśmy pisali w naszem piśmie o pannie Wisnowskiej, gdy po raz pierwszy wystąpiła na scenie lwowskiej i gdy talent tej aktorki, bez zaprzeczenia rozwijając się, przy bardzo częstych występach w różnych sztukach, dawał nam możność zwracania uwagi na ujemne strony jej gry, które się, zresztą, gwałtownie rzucają w oczy... Oto co czytamy w „Wieku:“

„Wczorajszy pierwszy występ na scenie teatru Rozmaitości panny Stachowiczównej w roli Cecylji w „Montjoye,“ przekonał nas, że wieści, jakie dochodziły nas z Krakowa o talencie młodej artystki nie były wcale przesadzone. Panna Stachowicz skończoną artystką nie jest, dużo pozostaje jej jeszcze do zrobienia, do zapanowania nad rolą, która do tej chwili przeważnie nad nią panuje. Całości wykończenia braknie, ale taką, jaką jest dziś panna Stachowicz, przedstawia niezmiernie bogaty materjał na artystkę w całem słowa znaczeniu do ról rzewnych, lirycznych. Głos jest pełen uczucia, łez, o które tak trudno na scenie, a oprócz tego posiada ona drugą jeszcze nad wyraz cenną zaletę, dziwnie sympatyczną powierzchowność, z której bije urok niewinności. Wobec widocznej inteligencji i talentu, reszta jest do zdobycia i przenosimy o wiele ten nieoszlifowany diament, który w krótkim czasie zmienić się może na brylant czystej wody, nad wszystkie sposoby i sposobiki zaangażowanej już na warszawską scenę panny Wisnowskiej. Tutaj jest prawda, a tam tylko sztuka. Publiczność też bardzo serdecznie witała młodą artystkę i nie wątpimy, że występy jej gościnne, wielkie obudzą zajęcie.“

— Jak wiadomo, p. Miłaszewski dostał na lat sześć dyrekcję teatru lwowskiego, którą obejmuje od 1. kwietnia b. r. Czy kierunek przyszłej dyrekcji będzie lepszy od obecnej — przyszłość to okaże. Zdaniem jednak naszem nie należy zbyt surowo sądzić działalności ustępującej, ani nie stawiać przesadnych żądań dla nowej, bo warunki i okoliczności lwowskiego teatru są tego rodzaju, że dzisiejsza dyrekcja nie zdołała zrobić tego, co było pożądanem, a przyszła nie może urzeczywistnić tych nadziei, jakich od niej spodziewają się zwolennicy p. Miłaszewskiego. My zrobilibyśmy tylko jedną uwagę. Opera nasza jest słaba, ale w każdym razie, jako tako zorganizowana i byłoby istotnie z krzywdą artystycznych interesów naszego miasta, gdyby p. Miłaszewski operę zaniedbał; mówimy dziś o tem dla tego, że doszły nas wieści, iż p. Miłaszewski dał się słyszeć o skasowaniu zupełnem opery we Lwowie. Pomijając już to, że warunki subsydjum udzielanego lwowskiemu teatrowi przez sejm krajowy, nie dałyby się pogodzić ze skasowaniem opery, samo zaniechanie jej, zniszczyłoby to wszystko, co pod tym względem obecna dyrekcja zrobiła i co jej, istotnie, poczytać należy za zasługę. Miejmy nadzieję, że p. Miłaszewski rozejrzawszy się bliżej w naszych stosunkach artystyczno-teatralnych, odstąpi od swego zamiaru, jeśli prawdą jest, że się z tym zamiarem nosi.

Z powodu krążących rozmaitych wersyj, alarmujących tutejszy świat aktorski, mieliśmy

możność dowiedzenia się, że p. Miłaszewski nie ma, bynajmniej, zamiaru pozbywania się wielu sił aktorskich, lub zmniejszania gaży — przeciwnie, pragnie on personal co do niektórych specjalności scenicznych wzmocnić, a co do płacy zastosuje się do słusznych wymagań i warunków różniących się dalece od tych, jakie istniały za poprzedniej dyrekcji p. Miłaszewskiego we Lwowie.

Wkońcu dowiadujemy się, że p. Miłaszewski nabył prawo wyłączne od autora, przedstawiania sztuki: „Kościuszko pod Racławicami“ na scenie lwowskiej, sztuki, która ma takie powodzenie w Krakowie i, że skutkiem tego „Kościuszko pod Racławicami“ za obecnej dyrekcji przedstawionym być we Lwowie nie może. Słyszeliśmy też, że p. Miłaszewski udaje się wkrótce do Wiednia i Berlina dla zakupienia różnych potrzebnych kostiumów i efektów dla lwowskiej garderoby teatralnej.

PIPISTRELLO.

POWIEŚĆ OUIDY.

Przekład z angielskiego.

Jestem tylko Pipistrello.

Nic więcej. Tyle co jeden z tych brunatnych, okrągłych kamyków, którymi wiatr pomiata w lecie na dnie wyschniętego łożyska Tybru.

Jestem Pipistrello; szermierz, błazen, sztukmistrz, kuglarz, upstrzony palietkami skoczek na linie, igraszka ludu, który biega, skacze, kręci się i wykrzywia, szydzi z samego siebie i pobudza wszystkich do śmiechu, a skokami swymi zarabia na życie, podobnie jak braciszek jego, tańczący niedźwiedź i kuzynka małpka w czerwonej sukience i kapeluszu z piórami.

Jestem Pipistrello; mam dwadzieścia pięć lat, patrzcie jakim silny, — kobiety mówią, że mam tęgą minę. W biegu i skokach nikt mi nie dorówna, gnę żelazną sztabę w ręku, mogę iść na wyścigi z najszybszym koniem, a młody dąb z korzeniem wyrwę bez wielkiego wysiłku. Jestem w całej sile wieku, w pełnym rozkwicie życia, nie chorowałem nigdy i mam jeszcze matkę... A jednak wyrok śmierci zawisł nad moją głową, jutro umrę na szubienicy; jeśli od świtu do wieczora nie zajdzie nic nadzwyczajnego, jutro o zachodzie słońca będę trupem.

I cóżby zajść miało? z jakiego powodu? Przecież jestem Pipistrello, tylko Pipistrello!... Lud mię lubił wprawdzie, lecz to nie powstrzyma wyroku sprawiedliwości i nie ocali mnie od śmierci. Sambym nawet nie pragnął tego, nie, nie chcę.

Meżczyźni, kobiety, dziewczęta i dzieci przyckodzą, zatrzymują się, i przypatrują mi się przez kraty. Czasem ktoś zapłacze troszeczkę, a jedno maleństwo dzieciak nie duży, wciska mi pomiędzy kraty śniadą rączkę z połówką czerwonego owocu granatu. Lecz większość się śmieje, Czemuż nie mają się śmiać? Uliczników bawi to zawsze gdy widzą jak rzeźnik pędzi rosłego czarnego wołu, z dumną, rogatą głową. Dla motłochu to śmieszne. Wółby swą siłą mógł rozprószyć te tłumy, jak wiatr północny pyły rozmiata, jeśliby wolnym był tylko; lecz trzymają go na uwięzi, a siła którą posiada, na nic mu się nie przyda. Młot go obala, a tłum się śmieje.

W starem Orte wszyscy mię znają od dziecka. W ciągu całego życia, w szerz i w zdłuż w prawo i lewo przeszodłem nieraz całą okolicę. Czy to na odpuście, czy na jarmarku, nie obeszło się bez Pipistrella. Wierzcie mi, nie złe to życie. Żadne życie złem nie jest, skoro mu słońce przyświeca i deszcz rosi, gdy można iść kędy wola i ochota, kędy oczy niosą i gdy nic od nieba nie odpradza.

Mój ojciec tak żył przedemną; umarł w Genui, spadł z trapezu w cyrku, w oczach tłumu ludzi; jak gałązka na dwoje złamana pękła mu kość pacierzowa. Byłem już sporym malcem; podczas widowiska mężczyźni przerzucali mną z rąk do rąk jak piłką lub pomarańczą.

Matka moja delikatna, młoda, śliczna istota, pełna serca dla swoich, z obcymi nieśmiała i wstydliwa, była córką biednego tkacza. Ojciec spotkał ją i zaślubił w Etruryi, a chociaż nigdy nie zadał sobie kłopotu uprawniania tego małżeństwa w obec mera kochał ją i obchodził się z nią z największym szacunkiem. Była najwierniejszą żoną i prawdziwie zacną kobietą. Biedna. Dziś jej włosy jak śnieg pobielały; mówią że zwarjowała.

Tem lepiej dla niej, jeśli nie wie o niczem; lecz kto wie, może ludzie mający umysł zamącony lub rozum niezupełny, widzą i pojmują wszystko, pogrążeni w nieszczęsnej ciemności?

Gdy mój ojciec umarł w Genui w tak okropny sposób, matce tak nienawistnem stało się wszystko mające związek z jego sposobem do życia, że zerwała wszelkie stosunki z towarzystwem do którego należał i zabrawszy mały woreczek, skórzany, w którym było trochę jej własnych pieniędzy, uciekła ze mną do starego miasta Orte, gdzie stale mieszkała moja babka wdowa po tkaczu.

Trupa chciała zabrać mnie z sobą; chociaż miałem pięć lat zaledwie, byłem giętki, lekki i niezmiernie śmiały; nie doznawałem nigdy najmniejszej trwogi, gdy podczas zabaw i na przedstawieniach, podrzucali mnie w powietrze jak żywą piłkę.

Orte było takież same wówczas, jak dzisiaj i zdaje mi się, że odwieczne miasta nic się nie zmieniają; chcąc je odświeżyć trzebaby je chyba zburzyć do szczętu i przebudować na nowo. Pamiętało jeszcze Etrusków i mogło niedbać o nowe pokolenia.

Matka i babka zajmowały jeden pokój nad samą rzeką; wielka ta sklepiona izba, z okratowanemi oknami i grubemi ścianami, stanowiła niegdyś cząstkę pałacu. Matka była jeszcze młodą i ładną; piękność to była blada, poważna i smutna. Uśmiechała m się niekiedy, lecz nigdy, ani razu nie słyszałem jej śmiechu. Nie roześmiała się już od owego dnia strasznego, gdy w samo południe, wsród słonecznego blasku, w obliczu tłumu ludzi w obec błękitnego morza w Genui, człowiek padł z góry na ziemię, jak orzeł piorunem rażony, spadający bez życia z obłoków.

Wielu miała wielbicieli starających się o jej względy. Mówiłem już, że była piękna, jak Madonny naszych starych malarzy; zręczna przytem i pracowita, a mały światek w którym żyła, wiedział, że z czasem odziedziczy wązki szmat pola i czerwoną krowę, którą babka wyganiała za bramy miasta.

Wszyscy ci wielbiciele bardzo się starali ująć mnie dla siebie; pieścili mnie często, obdarzali pomidorami, zielonemi figami, przynosili mi ptaszki w drucianych klatkach, pieczone ryby i zabawki. Lecz matka na żadnego patrzeć nie chciała. Skoro oczy kobiety zawsze na grób zwrócone, jak mogą jej łez pełne źrenice szukać nowego kochanka?

Odmawiała stale wszystkim.

Żyła jak mogła samotna i smutna w naszej obszernej chałupce; jadaliśmy mało, posłanie było twarde, a matka i babka ciężko pracować musiały na to biedne utrzymanie. Lecz gdy bogaty sierżant chciał ją uczciwie pojąć za żonę, całowała mię z płaczem powtarzając raz po raz: „Nie, nie! chcę zostać wierną twemu ojcu, niech się dzieje co chce!“

Sierżant wkrótce sie pocieszył; ożenił się z potężną dziewuchą, która miała sznur pereł i złote bransolety, a ja rosłem sobie dalej przy matce, tam gdzie jutrzenka złoci fale Tybru, płynące bystro pośród wybrzeży, nad któremi zwieszają się gałęzie płaczącej wierzby. Młodzieńcza siła moja krzepła na letniem słońcu; rosłem jak brunatna wysmukła łodyga kukurydzy. Pasłem krowę, ścinałem trzcinę, rąbałem drzewo i byłem zawsze szczęśliwy, nawet wtedy, gdy mi matka kazała iść do starego księdza, żeby mnie uczył z książek i brewiarza. Pragnęła, abym został mnichem, lecz na samą myśl o tem, drżałem z trwogi. Lubiłem łazić po dębach, kołysać się na klonach, wdzierać na wieże i maszty okrętowe. Cobym ja robił z habitem mniszym, w pobielanej celi? Ach! Zatykałem sobie uszy i uciekałem co tchu, skoro tylko biedna matka zaczynała mówić o klasztorze.

Nogi mi ciągle drgały, a krew kipiała, wrzała, burzyła się radośnie w żyłach. Ja — księdzem? Co za myśl zabawna! — Nigdy nie zatarły mi się w pamięci jasne, wesołe dni mego dzieciństwa, kiedy mię ojciec, jak kulę wyrzucał w powietrze; nie zapomniałem nigdy okrzyków ludu, widoku morza, ludzkich twarzy, głośnego, wesołego śmiechu publiczności, blasku szamerowanej sukni, upajających oklasków, tłumu. Miałem wówczas pięć lat zaledwie, a jednak pamiętałem żywo i niekiedy płakałem za tą przeszłością zamarłą. Byłem tylko małem śniadem stworzeniem, miękkiem i ciepłem, z wijącymi się czarnymi, jak kruk kędziorami a szermierze przerzucali mną z rąk do rąk

lekko, z uśmiechem, jak dojrzałem jabłkiem, lub soczystą brzoskwinią. Lecz poznałem już upajającą truciznę okrzyku tłumu i nie zapomniałem wzrastając smutnie w starem Orte, tych odurzających rozkoszy. Skoroście raz usłyszeli głosy powitania, zachęty, wyzwania publiczności wzruszają was do głębi duszy, jak najcudniejsza muzyka.

Syn szermierza nie może nigdy siedzieć spokojnie w domu i w szkole, jak dzieci szewca, kotlarza lub szynkarza. Życie drgało i wrzało we mnie, pulsa wszystkie biły, byłem w nieustannym ruchu, jak skrzydła jaskółek, gdy dla nich nadchodzi godzina odlotu, a gwałtowna żądza i tęsknota do stref południowych niemi owładnie. Z całej duszy uwielbiałem moją bladą, miłą matkę, podobną do Madonny, lecz w tej samej porze gdym szedł do księdza, z małą sakwą przez ramię, myślałem sobie zwykle, czyby to było bardzo niegodziwie cisnąć książki do rzeki i polecieć gdzie w pole?

Prawdę mówiąc, wymykałem się też bardzo często i pędziłem po polu, jak zając; właziłem na dachy na dzwonnice kościelne, zrywałem blaszanego koguta, który służył za wskazówkę wiatru, lub wprawiałem w ruch dzwony i tysiące podobnych wyprawiając figlów. Lecz zawsze na noc powracałem do matki. Zdawałoby mi się straszną niegodziwością i okrucieństwem, jeślibym ją kiedy porzucił. Wszakże na świecie całym miała tylko mnie jednego.

— Przyrzekasz być spokojnym i łagodnym Pippo? — pytała zawsze biedaczka. A ja odpowiadałem zwykle: „tak matko“, i sam wierzyłem obietnicy własnej. Lecz możeż ptak dać słowo, że nie poleci, skoro instyktem czuje, że wiosna się zbliża? Czy może młode źrebię obiecywać, że nogą nie ruszy, gdy pod kopytem czuje gładkie pole?

Nigdy z namysłu nie byłem nieposłusznym, lecz nieraz zaledwiem znikł z oczu matki, już em był gdzieś wysoko na wieży, lub dzwonnicy, razem z gołębiami, sowami latającemi ponad moją kędzierzawą głową. Tak się czułem szczęśliwym tam wysoko, przypatrując się staremu miastu, ginącemu w tumanach kurzu. Kobiety i mężczyźni wyglądali, jak mrówki na mrowisku, historyczna rzeka zdawała się pokręconą, żółtą wstęgą, a pałace i groby pokrywała zarówno zasłona gęstego kurzu. Tak mi tam było dobrze, — a oni chcieli zrobić ze mnie księdza! — lub, skorom o tem słyszeć nie chciał, to choć pisarza w biórze notarjusza. Mnicha? pisarza? gdy wszystke drzewa kiwały na mnie, abym włazil na nie i wszystkie ptaki, abym latał z niemi...

Płakałem często nad tem rzewnemi, gorącemi łzami, które mi jak ogniem twarz paliły, nad brzegiem starego Tybru leżąc w trawie z głową ukrytą w dłoniach.

Nie miałem jeszcze dwunastu lat skończonych, a chcieli, abym się tak na zawsze zamknął w Orte, posiwiał zmarszczył się i zgarbił, jak stary notarjusz nad szkaradnemi papierami, które sąsiadów pobudzały do wojny. Zdawało mi się, gdym o tem myślał, że mi serce pęknie. Z tem wszystkiem kochałem matkę, więc temperowałem pióra starałem się pisać jak najlepiej i mówiłem do chłopców z miasta: „Nie mogę już giąć żelaza, skakać, ani biegać z wami; muszę pisać u notarjusza cały rok, żeby zarobić na życie. Matka tak chce i tak być musi.“ Starałem się więc ile mogłem, nie patrzeć na kruki okrążające wieżę dokoła i na starą rzekę płynącą do Rzymu. Ponieważ widok fal, budził we mnie zawsze nieprzepartą chęć do biegania, a ptaków do lotu.

Jeśli kto tej chętki nie przyniósł ze sobą na świat, nie pojmie nigdy, co to za rozkosz wleźć wysoko, wysoko, coraz wyżej, wyżej, — widzieć jak łąka zielona blednie u stóp twoich, ludzie coraz maleją, aż się staną drobnym pyłkiem, a domy wydają się kupkami piasku; powietrze takie czyste dokoła i duże czarne skrzydło muśnie cię nieraz po twarzy, a ty sobie siedzisz konno na belce, na której wiszą dzwony i wpatrujesz się w jaką dziwaczną twarz, wyrzeźbioną z kamienia na wierzchołku wieży, jakie tysiąc lat temu, a może i więcej, której odtąd bodaj, że nie dojrzał żaden żywy człowiek; białawe chmury napływają tak blisko, iż ci się zdaje, że się w nich kąpiesz, wiatry poruszają je i rozpędzają i przelatują koło ciebie, pędzą gdzieś daleko po świecie, dręczą drzewa, morze, ludzi przy pracy, zrywają dachy nad ich głowami i łamią żagle na okrętach oceanu.

Ludzie zdają ci się tak daleko, a niebo tak blisko; pola i równiny nikną we mgle, która je ukrywa przed twojem okiem, a cały gwar żyjących istot z daleka dosięga twego ucha, łagodnie i cicho, niby brzęk pszczół wśród białego kwiecia akacji w maju.

(C. d. n.)

Kronika zagraniczna.

O trzęsieniu ziemi w Odesie, miejscowe pismo *Odesskij Wiestnik* podaje następujące szczegóły: „Dnia 25. grudnia r. z. około godziny kwadrans na szóstą popołudniu w Odesie dało się uczuć trzęsienie ziemi. Pogoda była piękna, temperatura dość wysoka, powietrze ciche, niebo pochmurne. Drżenie ziemi było faliste i szło od pp.—z. Należało ono do średnich i trwało około 10 sekund. Dwa silne wstrząśnienia z małą przerwą, stanowiły najwyższe natężenia trzęsienia. Wiele domów popękało. W domu Papudowy na placu Sobornym, na górnych piętrach meble się poprzewracały, a mieszkańcy poczuli tak silne chwianie się, jak na okręcie w czasie burzy. Z biblioteki publicznej wszyscy wybiegli, chcąc dowiedzieć się co się dzieje na ulicy. W Alkazarze na Łanserenowskiej ulicy, pospadały butelki z bufetu. W domu Korostowcewy na ulicy Policyjnej, uderzenie zdawało się że szło z boku. Pewna dama mieszkająca na piętrze tego domu, do tego stopnia się przestraszyła, że zemdlała. Z hotelu Fischera wszyscy mieszkańcy wybiegli niezmiernie przerażeni. W drukarni Nitca i innych, trzęsienie rozrzuciło złożone już formy. W sklepie Worobiewa stojące na pułkach butelki i szklanki potłukły się. W niektórych mieszkaniach ze ścian pospadały obrazy, lustra i t. p. Oprócz Odesy, jak wiadomo, trzęsienie ziemi dało się czuć w całej Bessarabji, w Tyraspolu, Kiszeniewie, lubo środkowym punktem tego zjawiska była Odesa.“

W Odesie znowu, jak donosi *Odesskij Listok* trzęsienie ziemi nastąpiło dnia 26. z. m. Było ono także bardzo silne. W ogóle były dwa wstrząśnienia. Pierwsze, któremu towarzyszył huk podobny do huku pioruna, trwało dwie sekundy i słabnąc coraz bardziej, zakończyło się drugiem, nagłem, silnem wstrząśnieniem. Pierwsze uderzenie było tak potężne, że w wielu domach poprzewracały się meble i sprzęty, na rogu zaś ulicy Deribasowskiej i Polskiej, w domu księżnej San Lorenzo, w jednym z pokojów spadł z łóżka śpiący gospodarz mieszkania. W aptece Pokornego mały włos, że szafy z lekarstwami się niepoprzewracały.

Z Zagrzebia donoszą, że dla ludności tego miasta czasy trwogi i rozpaczy już minęły. Wprawdzie zbiegi nastraszeni przesadnemi wieściami, jeszcze nie wracają do opuszczonych domów swoich — ludność jednak pozostała w mieście, bierze się z otuchą do pracy i z gorączkowym pośpiechem naprawia szkody wynikłe skutkiem trzęsienia ziemi.

Słynna powieściopisarka angielska znana pod pseudonimem George Elliot, umarła w tych dniach. Właściwe jej nazwisko było Leves. Była ona córką pastora anglikańskiego i po śmierci pierwszego swego męża Levesa, wyszła za mąż powtórnie za bankiera. Powieści jej tłómaczone są na wszystkie niemal języki. Do rzędu najlepszych z pomiędzy nich należy: „Middlemerch,“ „Daniel Deronda“ i „Romola.“

Z Francji. W Besançon odbyła się d. 26. grudnia z. r. uroczystość na cześć Wiktora Hugo. O południu orszak udał się z ratusza na plac Rondot Saint-Quintin, gdzie stoi dom, w którym urodził się poeta. Rodzinę Hugo reprezentował Paweł Meurice. Wieczorem w sali teatralnej po skończonym koncercie, uwieńczono biust autora „Nędzników.“

Z Kairu. Podana była niedawno wiadomość o szeiku egipskim, który pod pozorem leczenia najupartszych chorób zwabiał do siebie bogate damy, które następnie obdzierał i zabijał. Z ręki jego zginęło 18 ofiar. Zbrodnia przecież wykryła się, i obecnie szeik skazany został na powieszenie.

Dzienniki polskie wychodzące w Ameryce mają zwyczaj wiele bardzo artykułów, a nawet całych powieści przedrukowywać z pism naszych; nie tylko my, ale o ile wiemy, wszystkie redakcje nie mają nic przeciwko temu — sądzilibyśmy jednak, że wyraźne wskazanie zkąd się przedrukowywa

artykuł, wiersz, lub powieść, należy do koniecznego obowiązku tej redakcji, która to robi. Tymczasem koledzy nasi w Ameryce bardzo często zaniedbują tego obowiązku. Tak się stało naprzykład z wierszem Bolesławicza zamieszczonym w „Dzienniku dla Wszystkich“ z powodu 50-letniego jubileuszu artysty Aleksandra Ładnowskiego, który to wiersz „Przyjaciel ludu,“ wychodzący w Milwauke wydrukował i, ani słówkiem nie objaśnił czytelników swoich, że go przedrukował z „Dziennika dla Wszystkich.“ Jakkolwiek bardzo wysoko cenimy wolnomyślne instytucje i swobodę szlachetnej Ameryki, sądzimy jednak, że i w amerykańskich redakcjach podobne zwyczaje nie praktykują się.

W dzień Nowego roku wieczorem umarł w Paryżu Ludwik Blanqui, licząc lat 75. Urodzony w Nicei, od samej młodości należał do różnych tajnych stowarzyszeń we Włoszech i we Francji. Był to fanatyk polityczny. Ta nieustanna ruchliwość jego była powodem, że około 30 lat życia swego przesiedział w więzieniu. W r. 1840 sąd Izby wyższej skazał go na śmierć za powstanie komunistyczne, a król Ludwik Filip ułaskawił go i sąd zmienił karę na dożywotnie więzienie. W r. 1848 wypuszczony na wolność, wziął zaraz czynny udział w rewolucji majowej robotników, za co skazany został na 10 lat więzienia, które przebył naprzód na Belle-Isle, a potem na Korsyce. Amnestjonowany, przyjechał do Londynu i ztamtąd kierował spiskiem, a w r. 1861 wrócił do Francji, aby wykonać zamach na cesarstwo, skazany był na 4 lata więzienia, które, będąc słaby, przebył po większej części w szpitalu. W r. 1865 wyniósł się do Brukselli. W r. 1872 skazany przez sąd wojenny wersalski do Kaledonji, ale będąc chory, trzymany był w więzieniu. Amnestja pozwoliła mu wrócić do Paryża i tam komuniści mianowali go prezesem honorowym klubów i zgromadzeń, a starzec złamany wiekiem i cierpiący, próbował jeszcze pióra, wydając dziennik *Ni Dieu, ni maitre*.

Krezus. Jak się dowiaduje *Gaulois* z Petersburga, umarł tamże niedawno najstarszy urzędnik w ministerstwie spraw wewnętrznych, niejaki pan Malcow, który pozostawić miał majątek ceniony na 160 milionów rubli. Szczęśliwym spadkobiercą jest synowiec zmarłego.

Kierunek balonów. Dwukrotnie zeszłego miesiąca odbywały się w merostwie czwartego okręgu paryzkiego publiczne doświadczenia z małym balonikiem, którego łódka opatrzona jest meshanizmem zegarkowym, poruszającym pewien rodzaj śruby ze skrzydłami *(helix)*, jakich używa się do nadania ruchu statkom parowym, tylko innych wymiarów, odpowiednio do oporu powietrza. Mechanizm jest tak urządzony, że po nakręceniu i puszczeniu, przez kilka minut obraca śrubę w jednym kierunku, a w danej chwili zmienia kierunek pod pewnym kątem. Balonik puszczony w zamkniętej, a tylko ze wszystkich stron oszklonej izbie, przez jakiś czas poruszał się w prostej linji naprzód poczem za zmienieniem kierunku śruby zawracał najdokładniej. Próby te bardzo zainteresowały obecnych widzów i znajdujący się między nimi aeronauci uznali je prawie decydującemi, idzie tylko o to, czy aparat ten, na odpowiednio wielką skalę zbudowany, tak samo się zachowa na wolnem powietrzu wśród kapryśnych przewiów wiatru, jak w przestrzeni izby, która dla tego była zamkniętą, żeby ruch oddychania i rozmowy widzów nie zakłócały spokojności powietrza.

Panna Montgolfier. Zmarła w ostatnich dniach w Paryżu, w 93. roku życia, panna Adelajda Montgolfier, córka słynnego wynalazcy balonów, była niewiastą niepospolitej inteligencji, a w pracy literackiej nie ustawała w ostatnich nawet latach późnego wieku swojego. Założyła w Paryżu rozmaite czasopisma pedagogiczne i próbowała sił swoich także w kompozycji muzycznej, a zbiór jej piosenek p. t.: „Melodje wiosenne,“ przyjęty został do użytku w ludowych szkołach francuzkich. W młodości swej panna Monjgolfier utrzymywała w Paryżu sławny salon, który zgromadzał takie wybitne osobistości jak: W. Hugo, Lamartine, Michelet, Mignet, Dickens, Barthélemy, St. Hilaire i t. d.

Krytyka, Nowiny literackie i artystyczne

Przy budowie kolei żelaznej Pöchlarn Gaming w dolnej Austrji wykopano w swoim czasie między obecną groblą kolejową, a rzeką Erlach szczątki budowli, która według oznak architektonicznych odszukanych odłamków, zdaje się być rzymską. Ponieważ szczątki budowli rzymskich w okolicach „Winer-Waldu“ należą do rzadkości, poczęto w owem miejscu dalsze kopania, które stwierdzają domysł, że stał tam gmach rzymski znacznych rozmiarów. Znalezione szczątki wmurowano w ogrodzie plebanji w Erlach, aby je uchronić od zniszczenia.

Mamy przed sobą pierwszy zeszyt „Muzeum,“ dwutygodnika wychodzącego od 1. stycznia w Krakowie, o prospekcie którego w poprzednim numerze naszego pisma zapowiadaliśmy. — Pierwszy zeszyt „Muzeum“ obejmuje prace: Merunowicza: *Ekonomiczny stan Galicji w 1880 r.*, E-lyego: *Pigmalion* (poezja), Walerji Marrené: *Jóźwa Szymczak* nowella, Władysława Szajnochy: *Górnictwo naftowe w Galicji*, Kazimierza Jarochowskiego: *Pierwotne Dzieje Polski*, nadto, krytykę i sprawozdanie, kronikę literacką, zapiski naukowe i literackie. Jak widzimy treść dość bogata. Co zaś do istotnej wartości literackiej pierwszego zeszytu „Muzeum,“ sąd musimy odłożyć na później, gdy się bliżej przyjrzymy i rozczytamy w tem pomniejszem piśmie.

W Genewie wyszła broszura w języku francuskim p. t.: *Cinquantième Anniversaire l'insurection polonase du 29 Novembre 1830.* — Broszura ta obejmuje opis uroczystości 50-letniej rocznicy listopadowego powstania, jaką polacy z przyjaciełami Polski w Genewie urządzili; znajdują się w niej mowy Krystjana Ostrowskiego (otwarcie i zamknięcie uroczystości), odczytanie listów i telegramów od różnych znakowitych osób i stowarzyszeń nadeszłe do Genewy z powodu tej uroczystości, oraz bardzo długa, wyczerpująca mowa, rodzaj wykładu o powstaniu 29 listopada wypowiedzianego przez pułkownika Miłkowskiego, znanego powieściopisarza.

Wystawa etnograficzna Pokucia w Kołomyi, przez Marcelego Turkawskiego. Kraków 1880.

Broszura ta, będąca odbitką z „Czasu.“ zawiera ciekawe szczegóły o wystawie kołomyjskiej. Autor obznajmiony dokładnie z przebiegiem organizacji tej wystawy, podaje historję tejże, a przy tem piórem fachowem, opisuje wszystko w co wystawa obfitowała. Jestto niezawodnie najsumienniejszy przegląd okazów zgromadzonych na wystawie, i w każdem słowie przebija znajomość przedmiotowa. Przedewszystkiem zasługuje na uwagę myśl podana przez autora. o wystawach krajowych i ocenienie doniosłości wystawy w Kołomyi, o której wyraża się z całem uznaniem. Zachęcając do urządzania podobnych wystaw w kraju, kończy ustępem, który przytaczymy:

„Oto są dalsze wytyczne dla przedsięwzięć obywatelskich, których gwiazdą przewodnią powinien być *dobrobyt* kraju, bo ten utwierdzi na silnych podwalinach wolność narodową, a pierwszy prawie krok do obrania tego kierunku zbawiennego. tej pracy organicznej, bodaj, czy nie wyjdzie od wystawy etnograficznej Pokucia w Kołomyi.“

Praktyczny podręcznik do obliczania procentów z dołączeniem tabeli procentowej, opracował A. N. Lwów, nakładem księgarni Seyfartha i Czajkowskiego 1881.

Jest to podręcznik bardzo praktyczny, opracowany umiejętnie i szczegółowo. Przeprowadzona tam systematycznie nauka obliczania procentów, a w końcu zamieszczona jest tabela, bardzo do użytku podręcznego nadająca się. Dla bliższego zapoznania się z tem dziełkiem podajemy treść:

1. Uwagi wstępne. 2. Sposoby obliczania ilości dni zawartych między dwoma Xlatami. 3. Obliczanie procentów na duże — metoda ogólna. 4. Metoda stałych dzielników. 5. Ułatwienie rachunku przez skracanie stałego dzielnika z ilością dni lub kapitałem. 6. Obliczanie procentów dla różnych kapitałów i różnej ilości dni, porę tej samej stopie procentowej. 7. Obliczanie procentów. biorąc za podstawę ilość dni równającą się stałemu dzielnikowi podzielonemu przez 100. 8. Obliczanie procentów, biorąc za podstawę kapitał równający się stalemu dzielnikowi. 9. Obliczanie procentów za całe miesiące, przyjmując miesiąc za złożony z 30 dni. 10. Obliczanie kapitału, czasu i stopy procentowej, sposoby użycia tabeli procentowej. 12. Tabela procentowa.

ROZMAITOŚCI.

O rozwoju kolei żelaznych na ziemi podaje znany statystyk, dr. Engel, następujące dane: W czasie od roku 1829 do 1879, czyli w pierwszym pięćdziesięcioletnim okresie istnienia dróg żelaznych, sieć tychże wynosiła blisko 350.000 kilometrów. W użyciu na tej sieci zostawało 105.000 lokomotyw, 210.000 wagonów osobowych i 245.000 towarowych, a wszystko to kosztowało 40.000 milionów złr.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

P. K. C. w Krakowie. We Lwowie zawiązanie kasyna literacko-artystycznego nie przyszło do skutku.

P. W. L. w K. „Album Wojska Polskiego“ pierwszy zeszyt właśnie rozeszła się.

P. Jul. w D. Wierszyk pani: „Nie kocham cię.“ możeby właśnie wzbudził w tym, do kogo jest pisany wprost przeciwne uczucie, ale my go drukować nie możemy.

Panom autorom wierszy: „Tak mi jest smutno“, „Gdzie to było?“ „Nie lubię się pieścić“ i „Twarda miłość“ — utwory panów nie będą drukowane.

P. Nieznajomej w ? Bióro naszej redakcji jest otwarte codziennie od 9ej do 12ej i od 2ej do 7ej wieczorem. Każda redakcja jest rodzaju żeńskiego — nie dziw, że posiada wady „kobiece,“ jak się pani wyraża.

Przewodnik lwowski.

Banki i Towarzystwa finansowe.

C. k. uprzyw. galicyjski **Zakład kredytowy włościański.** ul. Jagielońska l. 14 w własnym gmachu. Wydaje 6% asygnaty kasowe za 30-dniowem wypowiedzeniem, tudzież sprzedaje 6% listy zastawne, które mają nadto udział w dywidendzie i mogą służyć na kaucye. Bióra centralne otwarte od godz. 9 z rana do 3 po południu.

Galicyjskie **Towarz. kredytowe ziemskie**, ul. Karola-Ludwika l. 1. Godziny otwarte w kasie od godz. 9—1, Dyrekcji od 8—12.

Galicyjski **Bank kredytowy,** ul. Jagielońska, l. 3, w domu własnym. Wydaje asygnaty kasowe 4% z 14-dniowem, 5% z 30-dniowem, 5½% z 90-dniowem wypowiedzeniem. Przyjmuje wkładki książeczkowe na 6%.

C. k. uprz. **Galic. akcyjny Bank hipoteczny,** plac Marjacki l. 15, we własnym gmachu. Wydaje asygnacje dasowe 5% z 90-dniowem, 4½ z 60-kniowem, 4% z 30-dniowem wypowiedzeniem, tudzież kupuje i sprzedaje wszelkie papiery wartościowe i monety; 6% listy hypoteczne służące do lokowania kapitałów funduszowych, pupilarnych i wszelkiego rodzaju akcyj, można najkorzystniej nabyć, lub sprzedać w tymże Banku.

Bank ojczysty dla ubezpieczeń na życie. Reprezentacja we Lwowie plac Marjacki, l. 10. Przyjmuje wnioski na ubezpieczenie ludzkie, we wszystkich kombinacjach — oraz i na ubezpieczenia małe tak zwane pogrzebowe, zacząwszy złr. od 50, które wypłacają się w 24 godzin po śmierci ubezpieczonego.

Zakład ogólno rolniczo-kredytowy dla Galicji i Bukowiny, ul. Ormiańska l. 2. Towarzystwo zarejestrowane nieograniczoną poręką, kupuje za mierną prowizję, niezapadłe jeszcze kupony papierów wartościowych państwowych, obligacyj indemnizacyjnych, przyjmuje wkładki na książeczki oszczędności z oprocentowaniem 6% na rachunek bieżący, 7% z trzechmiesięcznem wypowiedzeniem. Udziela pożyczki, i zaliczki, eskontuje weksle.

Sokal i Lilien, ul. Hetmańska l. 8. Dostarcza nowe arkusze kuponowe do akcyj kolei Rudolfa za mierną prowizją, tudzież kupuje i sprzedaje wszelkie papiery wartościowe, i monety pod najkorzystniejszemi warunkami. Zlecenia z prowincji uskuteczniają się bezzwłocznie.

Zakłady szewckie.

Piotr Bałkoski, ul. Wekslarska l. 5. Poleca obficie zaopatrzony magazyn obuwia męzkiego, damskiego i dziecinnego z najlepszego materjału krajowego i zagranicznego, wykonanie staranne podług ostatniej mody. Wszelkie zamówienia uskutecznia natychmiast po umiarkowanej cenie.

Michał Koneczny, ul. Szajnochy, l. 8. Poleca swój magazyn obuwia obficie zaopatrzony w męzkie, damskie i dziecinne obuwia z najlepszego materjału krajowego i zagranicznego i podług ostatniej mody wykonuje. Zamówienia uskutecznia szybko i po miernej cenie

Magazyn sukień.

Józef Altar we Lwowie, ulica Karola Ludwika l. 1. największy skład własnego wyrobu wiedeńskiego gotowych sukień dla panów i chłopców.

Zakłady tapicerskie.

A. Frünuff i T. Walsleben tapicerowie i dekoratorzy, przy ulicy Sykstuskiej pod l. 4, we Lwowie, przyjmują wszelkie zamówienia robót tapicerskich jako też robienia stór drelichowych.

Zakłady introligatorskie.

Ludwik Wierzbicki, ul. Halicka l. 52. Zakład galanteryjno-introligatorski i fabryka wgłębianych kartonów (Passepartouts), poleca swoje wyroby jako to: dyplomy, albumy, adresa, od pojedynczych do najwspanialszych, także oprawy książek od szkolnych do najozdobniejszych i wszelkie galanteryjne roboty, także poleca kartony ozdobne, tak na pojedyncze fotografje i obrazy jako i na grupy w różnych gatunkach i rozmiarach.

Magazyny optyczne.

Maurycy Boscowitz, optyk, plac Marjacki l. 7. Skład towarów optycznych i narzędzi mierniczych. Urządzanie dzwonków telegraficznych, konduktorów piorunowych i reperację wykonywa po najtańszych cenach.

Wyroby rzeźbiarskie z kamienia drzewa i gipsu.

Tadeusz Sokulski, ul. Mickiewicza l. 6, Medal zasługi z wystawy krajowej we Lwowie 1877. Rzeźby i ornamenta z drzewa, konzole, ramy, i rozmaite rzeźbione sprzęty salonowe i kościelne, ołtarze, cymborja, peretrony wraz ze złoceniem, różne modele do odlewów wykonuje z największą akuratnością.

Składy futer.

Adolf Fischer, przy ulicy Karola Ludwika pod l. 25. (Hotel pod Białym koniem,) poleca swój wielki wybór wszelkiego rodzaju futer — które na żądanie wedle życzenia tak dla Dam jak i dla Mężczyzn według najnowszego fasonu i kroju wykonuje.

Szanowna Publiczność raczy się tylko przekonać, a z pewnością sama powyższy Magazyn za jeden z lepszych i tańszych magazynów futer uważać będzie.

Architekci.

Leopold Warchałowski budowniczy i zaprzysiężony rzeczoznawca upoważniony przez c. k. władze rządowe przyjmuje i wykonuje wszelkie roboty — murarskie, ciesielskie stolarskie i kamieniarskie i inne w zakres budownictwa wchodzące, wykonuje plany i kosztorysa — przyjmuje prowadzenie robót budowniczych tak w mieście Lwowie jakoteż i na prowincji. Oraz poleca swój warstat wyrobu więźb dachowych, schodów i wszelkich innych robót, ręcząc za doborowy zdrowy materjał. Zamówienia, przyjmuje się przy placu Kapitulnym Nr. 2, I. piętro — we Lwowie.

O G Ł O S Z E N I A.

Album Wojska Polskiego

Wychodzi staraniem i nakładem „Dziennika dla Wszystkich“ czasopisma illustrowanego we Lwowie.

Pierwszy zeszyt obejmuje: Ozdobny tytuł, naczelny wódz na koniu w pełnej zbroi z przed 1815 r.; dyktator z 1830 r. w całej postawie i umundurowaniu. naczelny wódz z 1830 r., sztab (grupa konna z jenerałem sztabowym na czele). ułani i konni strzelcy grupy konne, wojsko polskie w boju, epizod z bitwy pod Grochowem rycina w podwojonem formacie. „Album Wojska Polskiego“ jest *w wielkim* formacie *in folio*, dwa razy większym, jak początkowo zamierzono. Ryciny kolorowane są ręcznie na wzór albumu Matejki — posiadają zatem prawdziwą wartość artystyczną. „Album Wojska Polskiego“ stanowi żywe wspomnienie bohaterskiej armii naszej i znajdować się powinno w każdej rodzinie polskiej. Pierwszy zeszyt już się rozeseła prenumeratorom. Drugi wyjdzie w styczniu 1881 r. następne zeszyty wychodzić będą w krórkich przerwach. Całe „Album“ zawierać będzie kilkadziesiąt wielkich rycin. Natychmiast po skończeniu się pierwszej serji cena „Albumu“ *znacznie podwyższoną* zostanie. „Album“ wychodzi w trzech serjach. każda serja zaś obejmuje cztery zeszyty. Prenumerata na pierwszą serję, „Albumu Wojska Polskiego“ wynosi z przesyłką, w Galicji i w całej Austrji *4 zł.*, w Poznańskiem w Prusach i Niemczech *8 marek*, we Francji innych krajach i w Ameryce *10 franków*. Całkowite „Album“ t. j. wszystkie trzy serje w Galicji i Austrji z przesyłką wynosi *12 zł. w. a.* w Poznańskiem Prusach i Niemczech *24 marek*, we Francji, innych krajach i w Ameryce *30 franków*. Prenumeratę można przesyłać na wszystkie trzy serje, na dwie serje lub na jednę serję. Pieniądze prenumeracyjne należy wysyłać w listach rekomendowanych. lub najdogodniej przekazami pocztowymi *do Administracyi „Dziennika dla Wszystkich“* ul. Rzeźbiarska nr. 1. 3.

Redakcya „Dziennika dla Wszystkich“

we Lwowie.

Odpowiedzialny redaktor i odpowiedzialny wydawca: Jan Chechliński. — Z drukarni K. Pillera.